Janina Łagoda

Od berlińskiego upadku minęło siedemdziesiąt lat, ale nie przeszkadza to rodzimym politykom, by stanąć przed trudnym zadaniem ustalenia dokładnej daty kapitulacji III Rzeszy. Do tej precyzji obliguje nasz wielki astronom, mimo że polityczne upływy ziemskiego czasu zbytnio go nie interesowały, raczej ruch w kosmosie.

Alianckie formalizmy

Pierwszy akt kapitulacji parafowano w dniu 7 maja 1945 roku w kwaterze gen. Dwighta Eisenhowera we francuskim Reims, a zakończenie działań wojennych wyznaczono na 8 maja, godz. 23.01, zaś prezydent USA Harry Truman i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill postanowili, że będzie to zarazem Dzień Zwycięstwa w Europie (wojna jeszcze trwała - Bliski Wschód, Azja). W tych pospiesznych i polityką podrasowanych gestach, zapomniano o kalendarzu trzeciego wielkiego koalicjanta. Stalin więc wymógł podpisanie kolejnego aktu poddania się Rzeszy, co stało się tym razem w radzieckiej kwaterze głównej marszałka Gieorgija Żukowa w Karlshorst pod Berlinem w dniu 8 maja o godzinie 22.16 czasu środkowoeuropejskiego, ale zgodnie z moskiewską miarą godzinową było już po północy, czyli 9 maja i tę datę Stalin uznał za Dzień Zwycięstwa. Polityczne rachunki i wówczas stanowiły niełatwe równania. W tych to okolicznościach Wielka Trójka, dokonując sektorowego podziału stref wpływów w Europie, zadekretowała odpowiednio dzień 8 i 9 maja jako emblematyczne daty pokonania nazizmu. Decyzja nader prosta i sprawdzała się przez dziesięciolecia. Umowny Zachód świętował zwycięstwo w dniu 8 maja, Wschód, a więc i Polska w dniu 9 maja. Wydawało się, że symboliczna chronologia upadku III Rzeszy nie będzie po latach zaczynem konfliktu. Stało się inaczej. Dzisiaj, co niektórzy nasi politycy, zasiadając w wygodnych przykominkowych fotelach, niezagrożeni rozlewającym się wówczas ludobójstwem, na swój sposób, podjęli się weryfikacji tamtych historycznych zapisów. Finałem owych pustych dywagacji jest skorygowanie świętowania dnia zwycięstwa. Rozkoszując się najczęściej rusofobicznymi przesłaniami, po latach przyjęli wersję Zachodu, ustanawiając 8 maja, dniem zwycięstwa. Nic też przecież nie stało na przeszkodzie, aby zadekretować tę światową euforię zwycięstwa w zupełnie innym czasowym wymiarze, skoro dzisiaj pozostajemy poza wszelakimi restrykcjami. Ale czy swoiste pojmowanie wolności nam nie zaszkodzi? W tej chwili do takich fantazji nie jest potrzebna, jak się okazuje, kontrasygnata dawnej Wielkiej Trójki. Nasz niezawisły parlament z tym sobie nieźle poradził. Wyznaczył - nie przez aklamację, bo istnieją także inne siły - dzień 8 maja, jako Narodowy Dzień Zwycięstwa (ustawa z dnia 24.04. 2015 roku), likwidując ustanowione w 1945 roku Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności, które obchodzono w dniu 9 maja. W ten sposób zwichrowanymi ambicjami w pokonaniu hitleryzmu potwierdzili swoje utopijne wizje o wyzwoleniu kraju spod hitlerowskiej okupacji. Gdzieś zdeponowali skromność i usiłują zająć pozycje decydentów w sprawach klęski, zwycięstwa i wolności w tamtych latach. Obraz to groteskowy, lekceważący dawny gest Wielkich, także w polskich sprawach. Nie zgadzając się z pierwotnym werdyktem, podjęli próbę jego rewizji. Przedsięwzięcie niezwykłe, ale ryzyko ogromne. Podważając wolę ówczesnych mocarzy wprawdzie tylko w jednym punkcie, co do dnia świętowania, dajemy pretekst do kwestionowania pozostałych pojałtańskich ustaleń, a wśród nich znajduje się fundamentalne, bo dotyczące kształtu naszych granic. Oby wygórowane ambicje polityków nie sprowokowały

nieszczęścia. Wydaje się, że trudno im pogodzić się z tym, że to nie oni decydowali o losach wojny. Byliśmy przecież tylko, a może aż beneficjentami zwycięstwa. Dzisiaj więc niczym nie zagrożeni znaleźli namiastkę dającą poczucie iluzorycznej werbalnej mocarstwowości.

Dylematy sukcesu

Wedle wyobrażeń co niektórych naszych polityków, do zwycięstwa nad hitleryzmem zbyteczny był Związek Radziecki. Problem w tym, kto wówczas ograniczyłby trwającą eksterminację naszego narodu i zawiesiłby flagę na Reichstagu, a byli tam także Polacy pragnący wrócić nad Wisłę. Innego wariantu nie było. Nie jest ważne, która armia aliancka nas przygarnęła, bo byliśmy w potrzebie, ale liczy się to, co ofiarą krwi dzisiejszemu pokoleniu ofiarowali. Ten podarunek jest rozmieniany na partyjne monety, za które nie sposób wykupić znaczka patriotyzmu, będącego nader tendencyjnie definiowanym, a jego interpretacyjna rozległość jest ogromna. Z tym mamy problem, podobnie jak z oznaczeniem polskiej racji stanu, Odmieniana jest przez wszystkie przypadki, ale wypełniające ją treści stanowią tabu, a może zwyczajnie o nich zapomniano.

Po ambiwalentnej batalii w 1939 roku, podjęto walkę o Ojczyznę na wielu frontach z przeróżnymi późniejszymi gwarancjami. Wielcy przeanalizowali naszą klęskę, aby przy ograniczonym dla siebie wskaźniku ryzyka przydzielić nam określone miejsce w geograficzno - historycznym układzie. Od satysfakcji wprawdzie daleko, ale Rzeczpospolita po raz kolejny została wpisana w mapę Europy.

Współczesny rewanż

Suwerenność nadania Polsce i nie zawsze satysfakcjonują naszych polityków. We Wrześniu wprawdzie uczestniczyliśmy, ale bez sukcesów tak, jakby nas nie było. Teraz usiłujemy odkupić klęskę ojców. Są to subtelne rewiry, po których poruszać się należy z wielką ostrożnością, a już na pewno nie wolno naginać historycznych faktów dla potrzeb bieżącej polityki. Okazuje się, że ten oczywisty postulat jest tyle dekretowany w publicznym oficjalnym obiegu, co lekceważony. Uwidoczniło się to w pełnej krasie podczas rocznicowych obchodów zakończenia wojny. Na miejsce świętowania wybrano Westerplatte. Symbol klęski usiłowano pogodzić ze zwycięstwem. Wyszło nieszczególnie, bo nie sposób skoligacić te antynomie.

We wrześniu 1939 roku mieliśmy dwóch wrogów, z których jeden okazał się później naszym wyzwolicielem, w czym mu aktywnie pomagaliśmy, okazując wdzięczność, ale tylko do pewnego czasu, tj. do momentu upadku Związku Radzieckiego. Wówczas z nadania rodzimych polityków pojawiła się teza zamieniająca wyzwolenie na zniewolenie, często nazywane kolejną okupacją. Odzyskanie wolności, a więc faktyczne zakończenie okupacji, jak dobitnie, co niektórzy nazywają ten gest spadkobierców Wielkiej Trójki, umownie wyznaczono na dzień 4 czerwca 1989 roku (tzw. wolne wybory) i dzisiaj jest ostentacyjnie świętowany. Karkołomne to wprawdzie rozumowanie, bo idące w poprzek odczuciom wielu obywateli i historycznym faktom. Zostało to jednak wpisane w kanony wiary współcześnie rządzących. Inne myślenie jest napiętnowane. Podbudowały je też panele pomyślane jako dalszy ciąg gdańskich obchodów, zorganizowane w kosztownym Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. Sztucznością też będzie epatowało Muzeum II Wojny Światowej w tym mieście, którego otwarcie miało uświetnić rocznicowe obchody. Ale z realizacyjnymi poślizgami jesteśmy obyci.

Dawnego okupanta i ludobójcę zdążyliśmy już pokochać i chwała politycznej roztropności. Z oswobodzicielem nie możemy sobie poradzić. Raz jest traktowany przyjaźnie, innym razem wrogo, a to ostatnie wypełnia atmosferę dnia dzisiejszego. Racjonalizmu żadnego, za to emocji

ogrom. Niesie to z sobą niewyobrażalne negatywne skutki. Wschodniego mocarstwa wprawdzie nie pokonamy w żadnym z wymiarów: militarnym, gospodarczym, dyplomatycznym etc. Możemy za to mieć wymierne korzyści, jeśli zracjonalizujemy osąd strategii wobec sąsiada. Zamiast wyważonego wyrachowania przyjęliśmy straceńczą opcję pognębiania mocarstwa. Są to ukłucia komara, którego łatwo odpędzić. Trudno narzucić dyktat silniejszemu, a my na przekór w tej optyce zakotwiczyliśmy postrzeganie wschodniego sąsiedztwa. Natomiast poprawna konwencja może przynosić profity. Sygnały przez nas wysyłane emitują fatalny odzew. Jest jeszcze pora na opamiętanie i pójście szlakiem innych państw, nie tylko unijnych. Nasza pryncypialność, emocjami budowana, wywołuje konsternację wśród partnerów. Pora wyciągnąć z tego wnioski i zainwestować w profesjonalną dyplomację, a nie w militarne gadżety jednorazowego użytku, mające rzekomo odstraszyć wojenne zagrożenie. Liche to remedium na ocalenie. Tak więc dylematy z wyciągania wniosków z pamiętnego roku nie straciły na aktualności. Sukcesem byłoby, aby sprawujący władzę odstąpili od uprawiania polityki rewanżyzmu i weszli na ścieżkę obopólnych interesów ze wschodnimi sąsiadami. Warto raz jeszcze zagłębić się w prostotę mądrości emanującej z prusowskiej Lalki, a i obojętnością niechaj się mieni zakłopotanie gombrowiczowską trąbą.

Wyzwolicielskie pojedynki

Rządzący zidentyfikowali agresorów, ale i naszych obrońców. Problem pozostaje z definicją napastnika i zarazem wyzwoliciela, jakim był Związek Radziecki. Tego paradoksu jednoznacznie ogarnąć nie sposób. Państwo zaś wybrało jedną opcję i brnie w straceńczy zaułek, wywołując zdumienie wśród innych. Wyzwala też niekorzystne dla nas reakcje dyplomatycznego izolacjonizmu, bo traktuje dzisiejszą Rosję jak dawny Związek Radziecki, a III RP daremnie usiłuje odgrodzić od jej korzeni tkwiących w PRL-u. Dotąd nie korygowaliśmy kryteriów definiowania sąsiada. Pozostajemy przy tradycyjno-populistycznych zawołaniach, oddalając tym samym proces pojednania, a to w przypadku wzajemnej bliskości wieszczy dla nas straty, które już niestety notujemy.

Uboczną intencją organizowanych uroczystości zakończenia II wojny światowej na Westerplatte, była chęć zdeprecjonowania tradycją uświęconych moskiewskich obchodów rocznicy końca Wojny Ojczyźnianej. Wyszło jak zwykle. Rosjanie zostali w świecie zauważeni, a my pozostaliśmy w pogłębionej niszy. Pora więc się otrząsnąć i podjąć koncyliacyjne działania, wzorem przynajmniej unijnych państw, które potrafią znaleźć korzystne dla siebie interpretacje obowiązujących porozumień. Także nasz zaoceaniczny guru pozostaje w komercyjno – przyjaznych układach z Rosją i to wbrew formalnie obowiązującym restrykcjom. Może i nasza dyplomacja kiedyś osiągnie ten poziom.

W świętowaniu zakończenia II wojny rządzący nami i tym razem postąpili nader schematycznie, tj. wedle wzorca spychającego Armię Czerwoną, jako tą, która wespół z naszymi rodakami wprawdzie położyła kres ludobójstwu, ale nie zasłużyła na szacunek. Nasza wdzięczność jest wybiórcza. Dowodów tego wiele, najbardziej namacalne to te, które polegają na obojętności wobec mogił poległych wówczas żołnierzy i usuwaniu dawnych znaków krwią rysowanych.

W tym miejscu warto byłoby odwzorowywać formy szacunku oddawanego naszym żołnierzom poległym na Zachodzie przez tamte państwa, np. Monte Casino, Bolonia, Breda, Ypres, Falaise, Gandawa i in. Byli to koledzy, znajomi, często bliscy krewni tych, którzy wyzwalali wprost polskie ziemie. Powikłane to życiorysy, ale nie wolno ich przysypywać twórczością dzisiejszych polityków, którzy niekiedy zachowują się tak, jakby to oni byli głównymi strategami w ostatniej wojnie światowej. Należałoby położyć kres żałosnemu rewizjonizmowi, który już sam

w sobie jest zajęciem niebezpiecznym. Przecież intencją III RP nie jest chyba pastwienie się nad tymi, którzy już bronić się nie mogą, ale i z obowiązującą wówczas ideologią niewiele mieli wspólnego. Wystarczy porównać zachowania państw zachodnich wobec tych, którzy mieli udział w ich wyzwalaniu z naszą ostentacją wobec żołnierzy, którzy na polskiej ziemi postradali to, co dla każdego najcenniejsze.
W tym punkcie też należy dostrzec cywilizacyjną przepaść. Czy widział ktoś naszego prezydenta, premiera, marszałków izb na wojskowych cmentarzach czerwonoarmistów, ale i polskich żołnierzy wespół z nimi walczących? Czy zastanowili się nad tym, jaki byłby dzień dzisiejszy, jeśli nie mieliby szansy przetrwania? Przykre to, kiedy nad mogiłami wyczyniane są polityczne hołubce. Dzisiaj wrażenia nie czyni nawet to, że nosili mundury skrojone wedle polskich wzorców, wieńczone kościuszkowskimi konfederatkami z nieco zmodyfikowanym piastowskim orłem. Na ich mundurach, skrywających również patriotyczną moc, nie trzeba było haftować identyfikatora Poland.
Wystarczy spojrzeć na pragmatyczną szczerość prezydenta Niemiec, który w rocznicowym dniu kapitulacji III Rzeszy oddał hołd czerwonoarmistom poległym na niemieckiej ziemi. Takiego gestu należałoby również oczekiwać ze strony naszych władz, poza ambiwalentną westerplattowską akademią.
Nie dość, że sami wedle niezrozumiałych kryteriów unikamy oddania honorów tym, którzy zapracowali na nasz dzień dzisiejszy, to jeszcze utrudniamy innym składanie hołdu pobratymcom tych, których przygarnęła nasza ziemia (ok. 600 tys.). Przykładem tego jest zapętlenie wokół rosyjskich motocyklistów. Zdarzenie to chyba do reszty skonfudowało naszą pryncypialność wobec Moskwy. Nocne Wilki, w mediach zwane niekiedy gangiem (sic!), wbrew polskim restrykcjom dojechały do Berlina. W innych tranzytowych państwach góruje pragmatyzm. Interesujące jest i to, że wbrew ubolewaniom rządzących, w Polsce też byli obecni w nieco zmienionej prezentacji (np. w Braniewie, gdzie tym razem zabrakło honorowej reprezentacji Wojska Polskiego). Chwilowo nikt z polskiej strony nie odtrąbił rachitycznego sukcesu, ale wszystko wskazuje na to, że nasza państwowa zaporowa machina przeciwko grupce motocyklistów wpisze się raczej w dyplomatyczną, ale również i ekonomiczną klęskę. Zlekceważyliśmy poprawny fragment intencji Wilków, który sprowadzał się wyłącznie do oddania hołdu ofiarom strasznej hekatomby. Na ich drodze był przecież Katyń, który hołdem uszanowali, ale i miał być Oświęcim oraz inne eksterminacją znaczone nekropolie. Czas równoważyć wojenny tragizm, tym bardziej zaskakuje reakcja naszych władz. Jakie ma więc znaczenie to, że głowa rosyjskiego państwa darzy sympatią określone stowarzyszenie o propaństwowych intencjach? Czy u nas i w innych państwach jest inaczej? Żenuje to, że nasze państwo nie potrafi zadbać w adekwatnych proporcjach o bezpieczeństwo przejazdu motocyklistów (graniczny alert służb!), jeśli w ogóle mamy do czynienia z jakimkolwiek zagrożeniem z ich strony, poza ulotnymi spalinami. Zakaz odwiedzania nekropolii, to chyba unikatowy i zarazem przykry przypadek w cywilizowanym świecie. Aż chciałoby się posiłkować słowem barbarzyństwo. Była to infantylna, ale i okrutna decyzja, która może mieć swój dalszy ciąg w nieprzyjemnych retorsjach. Już doczekaliśmy się zapowiedzi wytoczenia nam sądowego procesu odszkodowawczego o międzynarodowym wydźwięku. Nikt na nas nie wymuszał tak histerycznych reakcji. Chcieliśmy popisać się nadzwyczajnością i to wyłącznie w kontrowersyjnych dla nas sprawach ukraińsko-rosyjskiego konfliktu. Odbiór okazał się zróżnicowany, a w arytmetycznych słupkach międzynarodowego prestiżu odnotowaliśmy zapewnie deficyt. Gdzież się podziali utytułowani i nieźle opłacani belwederscy i rządowi doradcy? Może to tylko ich etatowo - finansowe hobby bycia na pierwszych stronach

medialnych doniesień? A może to tylko straceńcze objawy dezawuowania wykształcenia zdobytego w PRL-u? Warto i nad tym się zastanowić.

* * *

Jeśli już zastępy naszych polityków - amatorów zmogła nierozwaga, to przynajmniej etatowe władze państwa winny objawić rozsądek i oddać niewymuszony hołd żołnierzom idącym od Wschodu. Czyżby ofiary spod Lenino były inne od tych spod Monte Cassino? Byłby to ważny gest przykładowo ze strony prezydenta kraju, ale dla niego dzisiejszy stan wolności liczył zaledwie 25 lat. Historyk z wykształcenia, a jednak zapomniał o tysiącletnich korzeniach, które dotąd tłoczą witalne siły dla jakości dnia dzisiejszego. Zaczął koniunkturalnie pisać od nowa historię. Ta nonszalancja podrasowana dezawuowaniem przez niego cywilizacyjnych osiągnięć średniowiecza, prawdopodobnie przełożyła się na reelekcyjną porażkę. Wyborcy, to nie tylko wiecowa gawiedź. Czy następca podejmie tę ryzykowną opcję? Czas osądzi, ale dotychczasowe deklaracje sugerują racjonalizm.

Janina Łagoda